

□ Czas czytania: 5 min.

Przesłanie Przełożonego Generalnego ks. Ángela FERNÁNDEZ ARTIME

Pierwsza wyprawa misyjna została pobłogosławiona łzami księdza Bosko, który powiedział:

„Rozpoczynamy wielkie dzieło. Kto wie, czy ta wyprawa nie będzie jak ziarno, z którego wyrośnie wielka roślina?”.

Przepowiednia się spełniła.



Pierwsza salezjańska wyprawa misyjna – Turyn, Valdocco 11 listopada 1875 r.

Pierwszy raz był niezapomniany. Było to święto św. Marcina w 1875 roku. Świat o tym nie wiedział, ale w tym zakątku Turynu zwanym Valdocco rozpoczynało się niezwykle dzieło: dziesięciu młodych salezjanów wyjeżdżało do Argentyny. Byli oni pierwszymi misjonarzami salezjańskimi.

Wspomnienia Biograficzne relacjonują ten moment w sposób poetycki: „Była godzina czwarta i rozlegały się pierwsze dźwięki dzwonów, gdy w domu rozległ się hałas z powodu głośnego trzaskania drzwi i okien. Wzmógł się tak silny wiatr, że wydawało się, iż chce włamać on się do Oratorium. Być może był to przypadek, ale faktem jest, że podobny wiatr wiał w godzinie wmurowania kamienia węgielnego pod kościół Maryi Wspomożycielki; podobny wiatr powtórzył się też przy konsekracji sanktuarium”.

W Bazylice było tłoczno. Ksiądz Bosko wszedł na ambonę. „Na jego pojawienie się zapanowała w tym morzu ludzi głęboka cisza; drżenie wzruszenia przeszło przez wszystkich obecnych, którzy z zapałem przyjmowali jego słowa. Ilekroć wspominał bezpośrednio o Misjonarzach, jego głos się załamywał, aż niemal zamierał w ustach. Z wysiłkiem powstrzymywał łzy, ale też i zgromadzeni płakali”.

„Brakuje mi głosu, łzy dławią słowa. Mogę wam tylko powiedzieć, że jeśli w tej chwili moja dusza jest poruszona waszą wyprawą, to moje serce doznaje wielkiej pociechy widząc, jak nasze Zgromadzenie się umacnia; widząc, że w naszym niedostatku my również w tej chwili kładziemy nasz kamyk w wielkim gmachu Kościoła. Tak, idźcie odważnie, ale pamiętajcie, że jest tylko jeden Kościół, który rozciąga się na całą Europę i Amerykę i na cały świat, i przyjmuje mieszkańców wszystkich narodów, którzy chcą przyjść i schronić się w jego matczynych objęciach. Jako salezjanie, w jakkolwiek odległym zakątku świata się znajdziecie, nie zapominajcie, że tutaj we Włoszech macie Ojca, który kocha was w Panu, macie Zgromadzenie, które myśli o was, troszczy się o was i zawsze przyjmie was jako braci. Idźcie więc; czekają was różnego rodzaju trudy, wysiłki, niebezpieczeństwa; ale nie bójcie się, Bóg jest z wami. Pójdziecie, ale nie pójdziecie sami; wszyscy będą wam towarzyszyć. Żegnajcie! Być może wszyscy nie będziemy mogli się już widzieć na tej ziemi” (MB XI, 381-390).

Obejmując ich, ksiądz Bosko dał każdemu małą kartkę z dwudziestoma szczególnymi wskazówkami, jakby testament ojca dla dzieci, których być może już nigdy nie zobaczy. Zapisał je ołówkiem w swoim notesie podczas niedawnej podróży pociągiem.

Drzewo rośnie



25 września przeżywaliśmy ten moment łaski po raz 153. Dziś nazywają się Oscar, Sébastien, Jean-Marie, Tony, Carlos... Jest ich 25, są młodzi, przygotowani, ale noszą w oczach i sercach świadomość i odwagę pierwszych misjonarzy. Są oni przedstawicielami tego, o co prosiłem całą Rodzinę Salezjańską w tym sześćcioleciu: odwagi, proroctwa i wierności.

Ksiądz Bosko wygłosił małe proroctwo: „Rozpoczynamy wielkie dzieło, nie dlatego, że mamy chęć lub przekonanie, że w ciągu kilku dni nawrócimy cały wszechświat, nie; ale kto wie, czy ta wyprawa nie będzie jak to małe ziarno, z którego wyrośnie wielka roślina? Kto wie, czy nie jest to jak ziarno prosa lub gorczycy, które dopiero co kiełkuje i nie będzie zdolne do czynienia wielkiego dobra? Kto wie, czy ta wyprawa nie obudzi w sercach wielu pragnienie poświęcenia się Bogu na misjach, dołączenia do nas i wzmocnienia naszych szeregów? Mam nadzieję, że tak. Widziałem ogromną liczbę tych, którzy prosili mnie o posłanie ich” (MB XI, 385).

‘Być misjonarzem. Co to za słowo!’ zaświadcza pewien salezjanin po czterdziestu latach życia misyjnego. „Starsza osoba powiedziała mi: ‘Nie mów do mnie o Chrystusie; usiądź tu obok mnie, chcę poczuć twój zapach i jeśli to jest Jego zapach, to możesz mnie ochrzcić’”.

Piąta z rad księdza Bosko dla misjonarzy brzmiała: „Otoczcie szczególną opieką

chorych, dzieci, starców i ubogich”.

Żyjemy w czasach, którym trzeba stawić czoła z odnowioną mentalnością, taką, która „umie pokonywać granice”. W świecie, w którym granice grożą coraz większym zamknięciem, proroctwo naszego życia polega także na tym: na pokazaniu, że dla nas nie ma granic. Jedyną rzeczą, którą mamy jest Bóg, Ewangelia i misja.

Marzy mi się, aby powiedzieć dzisiaj i w nadchodzących latach, że „Salezjanie Księdza Bosko” oznaczają dla ludzi, którzy słyszą naszą nazwę, konsekrowanych nieco „szalonych”, to znaczy: „szalonych”, ponieważ kochamy młodych, zwłaszcza najuboższych, najbardziej opuszczonych i bezbronnych, z prawdziwie salezjańskim sercem. To wydaje mi się najpiękniejszą definicją, jaką można dziś podać o synach księdza Bosko. Jestem przekonany, że nasz Ojciec chciałby właśnie tego.

Wciąż wyruszają, by oddać swoje życie Bogu. Nie tylko w słowach. Zgromadzenie złożyło również ofiarę krwi. Motto kapłańskie, które męczennik ks. Rudolf Lunkenbein wybrał na swoje święcenia, brzmiało: „Przyszedłem służyć i oddać życie”. Podczas jego ostatniej wizyty w Niemczech w 1974 r. matka prosiła go o ostrożność, ponieważ poinformowano ją o ryzyku, na jakie narażony jest jej syn. Odpowiedział: „Mamo, dlaczego się martwisz? Nie ma nic piękniejszego niż umrzeć za sprawę Boga. To byłoby moje marzenie”.

Jestem głęboko przekonany, że nasza Rodzina musi w ciągu najbliższych sześciu lat podążać w kierunku większej uniwersalności, bez granic. Narody mają granice. Nasza hojność, która wspiera misję, nie może i nie powinna znać granic. Proroctwo, którego musimy być świadkami jako Zgromadzenie, nie obejmuje granic.

Jeden z misjonarzy opowiadał, jak odprawiał Mszę św. dla rdzennych górali w pobliżu Cochabamby w Boliwii. Był młodym księdzem i prawie nie znał języka Quechua, a na koniec, gdy szedł do domu, czuł, że to była porażka i nie udało mu się porozumieć. Ale pojawił się pewien stary chłop, ubrany ubogo, który podziękował młodemu misjonarzowi za przybycie.

Wtedy wykonał niesamowity ruch: „Zanim zdążę otworzyć usta, stary rolnik sięga do kieszeni swojego płaszcza i wyciąga dwie garście kolorowych płatków róż. Staje na palcach i gestami prosi mnie, abym mu pomógł, opuszczając głowę. Zrzuca więc płatki na moją głowę, a ja pozostaję bez słów. Ponownie grzebie w kieszeniach i udaje mu się wydobyć jeszcze dwie garście płatków. Powtarza ten gest, a zapas

czerwonych, różowych i żółtych płatków róż wydaje się nie mieć końca. Po prostu stoję tam i pozwalam mu na to, patrząc na moje huaraches (skórzane sandały), mokre od moich łez i pokryte płatkami róż. W końcu odchodzi i zostaję sam. Sam na sam ze świeżym zapachem róż”. Mogę powiedzieć z doświadczenia, że miliony rodzin na całym świecie są przepelnione wdzięcznością wobec salezjanów, którzy stali się „Ewangelią” pośród nich.